

GONITWA CHMUR

WIELOWĄTKOWA OPOWIEŚĆ
O LUDZIACH I ICH MIEŚCIE, W KTÓRYM
ŚNIĄ SWOJE WIELKIE SNY.

MARIA PASZYŃSKA

FILIA

MARIA PASZYŃSKA

**GONITWA
CHMUR**

FILIA

Piotrowi...

Rozdział 1

Dzwoneczek przy drzwiach cukierni „U Hanki” dzwięcznie oznajmił wyjście klientki. Słodka Pola szybkim ruchem ręki starła z lśniącego kontuaru okruszki pozostałe po pakowaniu olbrzymiej ilości rogalików z kruchego ciasta, nadziewanych masą makową. Poczula się nagle bardzo głodna, więc wykorzystując chwilę swobody, i ona postanowiła skosztować rogalików pieczonych według najnowszej receptury ojca, po który to wypiek w każdy czwartek od rana ustawiały się kolejki. Był rzeczywiście wyśmienity. Kruche ciasto, mięciutkie, lecz delikatnie chrupiące, otulało nasączoną koniakiem masę makową, w której pobłyskiwały kawałeczki migdałów. Apolonia Starczewska rzuciła tęskne spojrzenie na pozostałe lukrowane półksiężycy, pyszniące się na wysokiej porcelanowej paterze. Chętnie zjadłaby jeszcze kilka, ale nie mogła pozwolić sobie na dłuższą przerwę. Poza tym w każdej chwili mógł nadejść kolejny klient, na którym córka właściciela na stojąco jedząca ciastka za ladą mogłaby zrobić zdecydowanie niekorzystne wrażenie.

Posiliwszy się nieco, wyciągnęła grubą księgę rachunkową. W maju, tuż przed śmiercią marszałka Piłsudskiego, Słodka

Pola ukończyła z wyróżnieniem szkołę i od tej pory pomagała ojcu w prowadzeniu interesu, odciążając go, na ile potrafiła. Obecnie kłopotowała się rachunkami cukierni. Od tygodnia niemal codziennie usiłowała uporządkować zaległe sprawy finansowe, ale jakoś jej nie wychodziło, za dużo zmartwień rozpraszało jej myśli. Tym razem było podobnie. Za nic nie mogła się skupić na obliczeniach, co kilka sekund wyniki ulatywały jej z głowy i musiała zaczynać wszystko od nowa – syzyfowa praca.

Pola podniosła głowę znad wypełnionych cyframi stronic i wyjrzała przez okno.

Był pochmurny dzień. Silny wiatr bezlitośnie wyginał na wszystkie strony młode brzoźki i lipy posadzone wzdłuż Wilczej, strącając z nich kolorowe jesienne liście. Nieliczni przechodnie przytrzymywali jedną ręką palta, drugą kapelusze i kuląc się, chowali twarze w ramiona, usiłując jak najprędzej dotrzeć do miejsc, w których mogliby się nieco ogrzać, a przede wszystkim schronić przed szalejącą zawieją. Tylko jeden człowiek na ulicy stał nieruchomo, wyprostowany i uśmiechnięty, trzymając w zębach cygaro – Teodor Rakowski.

Pola wzdrygnęła się. Od pewnego czasu w jej głowie zrodziło się irracjonalne przekonanie, że widok Rakowskiego o poranku niechybnie zwiastuje kłopoty przez cały dzień.

Wiosną tego roku Rakowski kupił lokal na parterze kamienicy mieszczącej się niemal naprzeciwko wejścia do cukierni pana Antoniego. Otworzył w nim zakład gastronomiczny serwujący dania jarskie, a menu ułożył zgodnie z wszelkimi wymogami ówczesnie obowiązującej w stolicy mody na dania bezmięsne. U Rakowskiego można było skosztować i innych potraw, którym lekarze, ze słynnym doktorem Tarnawskim

z Kosowa pod Kołomyją na czele, przypisywali prozdrowotne właściwości.

Choć dwie przecznice dalej, przy Wilczej 35, mieściła się restauracja „Wzorowa”, będąca dumą Warszawskiego Zjednoczenia Jaroszków, a nieco dalej, przy Koszykowej 22, jarska „Jadłodajnia Iwanowicza”, lokal Rakowskiego szybko zyskał sobie wierne grono zwolenników. Stołowali się u niego nie tyle zagorzali amatorzy gotowanych warzyw, ile miłośnicy mięsiwa mający kłopoty zdrowotne. Co ciekawe, większość z nich stanowili mężczyźni potężnej budowy, nader potliwi, o trudnej do zauważenia linii podbródka, którym żony i doktorzy zalecali ścisłą dietę. Lokal Teodora Rakowskiego był dla nich szansą na zjedzenie porządnego, w ich ocenie, posiłku bez narażania się na niezadowolenie żony i połajanki przy kolejnym pomiarze ciśnienia u medyka. Rakowski bowiem nie stosował się nazbyt ortodoksyjnie do zasad kuchni bezmięsnej, okraszając tu i ówdzie kapustę skwarkami, smażąc cebulę na słoninie czy polewając kasze wybornym gęsim tłuszczem. Dodawał tym samym mdłym, zdaniem niektórych, daniom smaku, zachowując pozory serwowania posiłków niosących samo zdrowie.

Kulinarny podstęp udał się znakomicie. W krótkim czasie zaczęli tu jadać profesorowie pobliskiej Politechniki Warszawskiej i przedstawiciele wolnych zawodów, licznie zamieszkujący Wilczą. Przy niewielkich, prostych, lakierowanych stolikach, nakrytych białymi obrusami i białą zastawą, można było spotkać znanych adwokatów, wziętych architektów, nauczycieli i żołnierzy pochylonych nad pieczenią rzymską przyrządzoną z marchwi, ziemniaków i kalafiora, obficie posypaną koperkiem.

Dodatkowym atutem tego miejsca były niemające sobie równych w Warszawie zakąski grzybowe, zwłaszcza maślaki moczzone w mleku, smażone i podawane z uduszonymi na maśle gałązkami pietruszki, których nie można było dostać nigdzie indziej. Ceny, nazbyt wygórowane na żakowską kieszeń, nie pozwalały stołować się tu studentom i uczniom okolicznych szkół, toteż lokal Rakowskiego szybko zyskał sławę jadłodajni, w której można zjeść posiłek w atmosferze niezakłóconej młodzieńczą żywotnością i hałaśliwością, a przy okazji wstąpić na kawę i doskonały deser do cukierni Starczewskich. Po takiej dawce zdrowia i witamin niepodobna bowiem nawet z powodu wskazań medycznych odmówić sobie odrobiny słodkiej przyjemności.

Wydawało się, że nowe sąsiedztwo przyniesie cukierni „U Hanki” same korzyści. Wraz z rozwojem miasta i wzniesieniem w Śródmieściu coraz odważniejszych i nowocześniejszych gmachów Wilcza, zwłaszcza u zbiegu z Koszykową, zaczęła uchodzić za okolicę nieco staroświecką. Młodzi ludzie, których stać było na mieszkanie w pobliżu, osiedlali się raczej u jej początków, tam gdzie łączyła się ona z pięknymi Alejami Ujazdowskimi czy tętniącą życiem Marszałkowską. Do kamienic oznaczonych niskimi numerami zaczęli się przenosić także zamożni przedsiębiorcy, poważni urzędnicy i słynni lekarze, bo tamte rejony bardziej odpowiadały ich pozycji społecznej. Cukiernia pana Antoniego wprawdzie nigdy nie odczuła skutków podupadania ulicy, ale modna restauracja w pobliżu pozwalała mieć nadzieję na to, że wkrótce i cukiernię zaczną odwiedzać nowi klienci.

Pola, wciąż pochylona nad rachunkami, rozmyślając o sąsiedztwie, które miało być szansą, a okazało się nieznośnym

ciężarem, przypomniała sobie, iż przecucie, że tak się stanie, tknęło ją już podczas pierwszego spotkania ojca z Teodorem Rakowskim.

Pewnego wyjątkowo słonecznego kwietniowego popołudnia w drzwiach cukierni Starczewskich pojawił się grubawy, choć nie otyły, lekko łysiejący, nadzwyczaj szykowny mężczyzna w średnim wieku, pachnący intensywnie popularną wodą kolońską Przemysławka, produkowaną przez Henryka Żaka w Poznaniu, której używanie było w dobrym tonie, odkąd „do rannej toalety” zaczął polecać ją sam Jan Kiepora – wyrocznia męskiej elegancji i stylu. Wypachniony jegomość podszedł do pana Antoniego i w nieco zbyt swobodny, choć bynajmniej nie niegrzeczny sposób zaczął z zachwytem rozwódzić się nad wysmakowanym urządzeniem części sklepowej lokalu. Następnie, wykazując wielką gorliwość i zaciekawienie, żartobliwie zażądał, by pan Antoni raczył oprowadzić sąsiada po samej kawiarni i przylegających do niej salach oraz by nie dał się zbyt długo prosić o zdradzenie tajemnic zaplecza.

– Wzajemne zaufanie to podstawa współżycia sąsiedzkiego, nieprawdaż? – rzekł, po czym w odpowiedzi na pytające spojrzenie pana Antoniego, dodał: – A, prawda, nie przedstawiłem się! Teodor Rakowski.

Starczewski uściśnął podaną mu dłoń i nieco zakłopotany wymamrotał swoje nazwisko.

– Ależ panie sąsiedzie, pan nikomu w tym mieście nie musi się przedstawiać. Jestem doprawdy zaszczycony, podkreślam: zaszczycony! – huknął radośnie gość i poklepał pana Antoniego poufale po plecach.

Słodka Pola stała na uboczu i przyglądała się uważnie nietypowemu zachowaniu mężczyzny. Było w nim coś

niepokojącego, choć większość osób zgromadzonych w sklepie rzucała mu pełne sympatii spojrzenia. Nowy sąsiad wydał się Poli zastanawiająco czujny i spięty jak drapieżnik gotujący się do skoku, choć usiłował to maskować głośnym, wesołym i bezpośrednim sposobem bycia. Rakowski przebiegł wzrokiem po osobach znajdujących się w sali i dostrzegł utkwiony w nim wzrok córki pana Antoniego. To jedno spojrzenie w ukryte za staroświeckim lorgnonem oczy Rakowskiego wystarczyło, by utwierdzić Polę w przekonaniu, że stojący przed nią człowiek ma niewiele wspólnego z dobrotliwym, jowialnym wujaszkiem. Zza optycznych szkieł, ukryte w grubych fałdach powiek, wyzierały oczy nadzwyczaj badawcze i przenikliwe, których wyraz sprawił, że dziewczynie ciarki przeszły po plecach, mimo iż w tym samym czasie Rakowski zasypał ją gradem przymilnych słów i z galanterią ucałował jej dłoń.

Apolonia Starczewska była pewna, że ma przed sobą bezwzględnego człowieka, który nie cofnie się przed niczym na drodze do osiągnięcia swoich celów, okrutnego i pozbawionego skrupułów, a owo złe usposobienie skutecznie tuszuje, przybierając pozę rubasznego, sympatycznego grubaska. Pola słyszała plotki, w których nazywano Rakowskiego warszawskim Midasem, ponieważ wszystko, czym się zajął, szło gładko i niemal natychmiast okazywało się nadzwyczaj rentowne. Rakowski prowadził w Warszawie trzy księgarnie, drukarnię, skład apteczny i rzezoną restauracyjkę na Wilczej. Dodatkowo zajmował się wieloma przedsięwzięciami, o których istnieniu w mieście dużo rozmawiano, ale nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć, co jest ich istotą. Sądząc po sposobie ubierania się jego żony, można było jedynie wnioskować, iż owe przedsięwzięcia przynosiły mu ogromne zyski.

Pola dyskretnie przyjrzała się złotemu lorgnonowi, ozdobionemu niewielkim zegarkiem zmyślnie wbudowanym w rączkę. Była pewna, że dla Teodora Rakowskiego jest to nie tyle instrument optyczny, ile podkreślenie statusu materialnego. Doskonale potrafił eksponować własny dostatek, sprawiając wrażenie kogoś, kto się z nim nie obnosi. W Warszawie jednak żaden wielki majątek nie mógł pozostać niezauważony, a wielkie pieniądze zawsze wywoływały wielkie emocje. Dlatego właśnie na stołecznych salonach dużo mówiło się o tajemniczym przedsiębiorcy, który szybko zyskał sobie przychylność wielu znaczących osobistości.

Teodor Rakowski miał bowiem pewien rzadki talent, który w połączeniu ze sprytem, śmiałością, brakiem zahamowań i głębokim przekonaniem, że świat powinien bez słowa sprzeciwu leć u jego stóp, doprowadził go do miejsca, w którym się znajdował. Owym talentem była zdolność do bezbłędnego odkrywania ludzkich skłonności, wyczuwania ich natury na tyle dokładnie, żeby móc przypodobać się każdemu i bez wysiłku wkładać się w łaski tych, których chciał mieć po swojej stronie i którzy byli mu do czegoś potrzebni. Instynkt niemal go nie zawodził. Z rzadka tylko spotykał osoby pokroju Antoniego Starczewskiego i Słodkiej Poli, które od pierwszej chwili dostrzegały jego prawdziwe oblicze.

Gdy Rakowski piał z zachwytu nad zapachami w cukierni, sądząc, że i tym razem po mistrzowsku odgrywa swoją rolę, Pola wymieniła szybkie spojrzenia z ojcem, który wzrokiem dyskretnie nakazał jej zachować ostrożność. Najwyraźniej podzielał jej opinię o tym człowieku.

W niedługim czasie mieli się przekonać, jak trafny był ich osąd. Kilka tygodni po otwarciu jadłodajni Rakowski wykupił

sąsiedni lokal i otworzył w nim własną kawiarnię, słusznie wnioskując, iż nie ma sensu dzielić się zyskami, skoro można samemu zapewnić kawę i ciastka swoim gościom. Jednak tym razem zmysł przedsiębiorcy go zawiódł. Nie docenił renomy i popularności kawiarni pana Antoniego. Jego klienci po zjedzeniu dobrego obiadu na deser szli do „U Hanki”, mówiąc, że tam można zjeść najlepsze ciastka w mieście, a świeżo palonej, aromatycznej kawy od Starczewskiego nic nie dorówna.

Rakowski wkrótce musiał zamknąć cukiernię. Z jego zachowania można było wnioskować, że niezbyt przejął się niepowodzeniem. Zamknąwszy kawiarnię, sprowadził do swojej restauracji angielską maszynę do wyciskania soków z warzyw, czym natychmiast wzbudził entuzjazm klientów, zafascynowanych nie tyle samym napitkiem, ile nowoczesnym urządzeniem.

Wydawało się, że wszystko znów znalazło się na swoim miejscu, a życie gastronomiczne na krańcu Wilczej podzieliło się między dwa lokale, każdy wyspecjalizowany w innej dziedzinie. Jednak Rakowski był człowiekiem nieznoszącym porażek. Musiał wygrywać, a gdy przegrywał, co zdarzało mu się niezwykle rzadko, tak długo knuł, kombinował, węszył i spiskował, aż wreszcie udawało mu się pokonać przeciwnika, który wcześniej odniósł nad nim zwycięstwo. Naczelną zasadę, którą wyznawał w życiu, można by streścić w trzech słowach: „Wygrać albo zniszczyć”.

Odkąd zamknął cukiernię, w porze podwieczorku ostentacyjnie przesiadywał „U Hanki”, jakby chciał pokazać całemu światu, że nie żywi urazy i docenia przysmaki serwowane w lokalu rywala. Na większości ludzi robiło to bardzo dobre wrażenie. Ukazywało Rakowskiego jako człowieka otwartego, który

z godnością przyjmuje porażki. Pola była jednak odmiennego zdania. Im dłużej przyglądała się Teodorowi Rakowskiemu, tym bardziej się go bała, przypuszczając, że nie należy do osób, które łatwo puszczają w niepamięć własne niepowodzenia.

Wkrótce Rakowski zaczął nachodzić pana Antoniego i proponować mu wspólne interesy. Raz jeden pan Antoni dał się namówić. Później niczym innym jak chwilowym brakiem przytomności umysłu nie był w stanie wytłumaczyć samemu sobie, dlaczego w ogóle zastosował się do wskazówek sąsiada. Stracił sporo pieniędzy i zdrowia, usiłując naprawić powstałą sytuację ze Spółdzielczym Bankiem Przemysłu Cukierniczego, w którym zaciągnął pożyczkę rządową pod rzekomo pewną inwestycję, poleconą mu w zaufaniu przez Rakowskiego. Zarząd banku, przez wzgląd na zaangażowanie pana Antoniego w cechu cukierniczym i jego nieposzlakowaną opinię, zgodził się nie nagłaśniać próby wyłudzenia państwowych pieniędzy, której pan Antoni ich zdaniem się dopuścił. Starczewski, niczego nie rozumiejąc, podziękował bankierom i udał się do Rakowskiego z prośbą o wyjaśnienia. Ten jednak zbył go, udając, że rozmowa, na którą powoływał się cukiernik, nigdy się nie odbyła.

– Panie Antoni, kochany panie sąsiedzie – rzekł z udawaną usłużnością – chyba nie posądza mnie pan o takie nierozsądne sugestie? Musieliśmy się nie zrozumieć, ot i wszystko. Ludzka rzecz.

Pan Antoni poczuł gniew i wyszedł bez pożegnania. A Rakowski nadal jadał podwieczorki „U Hanki”, serdecznie witał się z właścicielem i wykorzystywał każdą okazję, żeby uprzykrzyć mu życie. Gdy dowiedział się o kłopotach finansowych pana Antoniego, będących pokłosiem owej nieszczęsnej

awantury z bankiem cukierniczym, zasugerował, że w razie potrzeby Starczewski może odsprzedać mu „U Hanki”.

– Zapłacę gotówką – dodał, przybierając żartobliwy ton, choć w jego oczach lśniły stalowe błyski.

– To nie będzie konieczne – odparł wówczas pan Antoni i od tej pory starał się unikać Rakowskiego, ku wyraźnej ucie-sze tego ostatniego, który dla odmiany robił wszystko, żeby cukiernika spotkać.

Sytuacja między nimi stała się dla pana Antoniego nie do wytrzymania. Rakowski okazał się tak zręcznym manipulantem, że Starczewski mimo czujności, jaką zachowywał od pierwszego ich spotkania, wpakował się przez niego w poważne kłopoty – i ta myśl była dla zacnego cukiernika szczególnie nieznośna.

Pola westchnęła na wspomnienie wszystkich zmartwień, które przez Rakowskiego spadły na jej rodzinę. Ostatnio zauważyła, że choć ojciec na nic się nie uskarża i stara się zachowywać jak gdyby nigdy nic, ciężiej oddycha, szybciej się męczy i od czasu do czasu przysiada odpocząć, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. Niepokój o dorobek życia wpływał nie tylko na stan psychiki pana Antoniego, ale też wyraźnie pogarszał jego zdrowie. Pola starała się oszczędzać ojcu trosk, jednak przy tak natrętnym sąsiedzie było to trudne zadanie.

Dziewczyna rzuciła w stronę Rakowskiego spojrzenie pełne niechęci. Mężczyzna dojrzał zerkającą w jego kierunku Słodką Polę i uklonił się jej z kurtuazją. W owym powitalnym skinieniu nie było wprawdzie nic niestosownego, ale Polę przeszył nieprzyjemny dreszcz. Natychmiast spuściła wzrok, udając, że nie zauważyła nienagannego gestu sąsiada. Miała niejasne przecucie, że Rakowski coś knuje i że cel jego

(podłego zapewne) planu jest związany z jej rodziną. Wbiła spojrzenie w długie kolumny cyfr i starała się za wszelką cenę o nim nie myśleć, niestety z marnym skutkiem.

Rakowski dostrzegł jej zmieszanie i uśmiechnął się do samego siebie. Nie znosił tej dziewczyny. Był estetą i jego wysublimowane zmysły raził brak wdzięku i urody córki Starczewskiego. Może jej figura była wcale niezłą reklamą dla cukierni, ale jego zdaniem kobiety tak gargantuicznych rozmiarów, z twarzami surowych wychowawczyń zakładów dla niesfornych panienek, nie nadawały się do obsługiwania klientów. Sprzedawczynie i kelnerki powinny mieć słodki wyraz twarzy, czarujący uśmiech i eleganckie ruchy, tak by samo patrzenie na nie sprawiało klientowi przyjemność i zachęcało do zakupów. Najtrudniej jednak było Rakowskiemu znieść jej pełen optymizmu sposób bycia. Tak naiwnie radośnie mogą zachowywać się chłopki w polu podczas żniw, a nie córki właściciela jednej z najlepszych cukierni w stolicy kraju. Za grosz gustu, za grosz klasy, za grosz dobrych manier. Przyglądał się z niechęcią, jak pochylona nad książką Pola zapisuje coś uważnie w wielkim zeszycie. Rakowski był pewien, że dziewczyna wyczuwa na sobie jego wzrok i tylko udaje skupioną.

Im dłużej jej się przyglądał, tym wyraźniej czuł, że w jego głowie kielkuje jakaś zaskakująca myśl. Nagle nabrała ona rzeczywistego kształtu. Mężczyzna uśmiechnął się złowieszczo do samego siebie; w jednej chwili znalazł rozwiązanie dla swoich zmartwień, w dodatku takie, które pozwoli mu odnieść kilka korzyści jednocześnie. Przejmie interes Antoniego Starczewskiego, a przy tym zakpi z jego paskudnej córki i wyśmienicie zabawi się jej kosztem.

Teodor Rakowski postanowił, że jeszcze tego wieczoru przy kolacji przedstawi rodzinie swój plan. Zatarł z uciechy rękę i wszedł do restauracji w doskonałym nastroju. Czuł, że ma przed sobą dobry dzień.

Rozdział 2

Każdego dnia w momencie, gdy przestępował próg cukierni mieszczącej się w wytwornej kamienicy na rogu ulic Szpitalnej i Hortensji, nazywanej przez jednych czule, przez innych kpiąco wedlowską bombonierką, Wojtek w duchu dziękował ojcu, że namówił go do przyjęcia posady czeladnika w dekoratorni Jana Wedla. Wraz z pierwszym uderzeniem gorzkawego zapachu palonego kakao, przeplecionego waniliowymi i korzennymi nutami, czuł, że wszystko w jego życiu jest na swoim miejscu, a jego wiara w to, że jutro przyniesie mu tylko lepsze chwile, jeszcze wzrastała.

Zaplecze, gdzie znajdowała się dekoratornia, znacznie różniło się od urokliwego sklepiku połączonego z elegancką pijalnią czekolady. W części kawiarnianej, do której wchodziło się rzęsiście oświetlonym wejściem od ulicy Szpitalnej, zachowany został staroświecki nastrój minionej *la belle époque*, do której wciąż tęskniło wielu mieszkańców stolicy. Królowały tu ciężkie, ciemne meble, w których lśniących blatach odbijały się złożone sztukaterie, bogato zdobione żyrandole i kinkiety stylizowane na kandelabry z dawnych sal balowych. Olbrzymie lustrzane szafy, wznoszące się do sufitu,

NAD EUROPA, KTÓRA DOPIERO CO ODBUDOWAŁA
POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA, PONOWNIE ZBIERAJĄ
SIĘ CHMURY...



Rok 1935. Na tle olśniewającej panoramy Warszawy życie toczy się krętymi ścieżkami. Prawda bywa bardziej niewiarygodna od kłamstwa, a to, co wydaje się proste, wcale takie nie jest. Nieskazitelne wizje młodych bohaterów *Warszawskiego niebotyku* okrywa cień. Muszą zmierzyć się ze zderzeniem świata ideałów i tego, co otrzymują od losu. Tymczasem stolica Polski szykuje się do wystawy „Warszawa przyszłości”, a świat bacznie śledzi kolejne poczynania Adolfa Hitlera, który umożliwi wejście w życie ustaw norymberskich.

wydawnictwofilia.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-072-2



9 788384 020722